

SPOWIEDNIK RZECZY

Wojciech Bauer

Koobe
Kraków 2013

© Copyright by Wojciech Bauer, 2013

© Copyright for this edition by Koobe Sp. z o.o., 2013

Redakcja: Dagmara Gorczyńska

Korekta: Grzegorz Bogdał

Projekt okładki: Anna Sus

ISBN 978-83-936253-1-4

Koobe sp. z o.o.

ul. Kornela Makuszyńskiego 4

31-752 Kraków

kontakt@koobe.pl

koobe.pl



Wydanie I

Kraków 2013

TYDZIEŃ PIERWSZY

Poniedziałek.

Kruta nurt ma niespieszny, wije się zakolami wśród płaskich łąk, między krzewami wikliny i olchowymi zagajnikami, omija większe pochyłości szerokimi łukami, widać, że nachylenia gruntu specjalnie nie lubi. Aż dziw bierze, że w ogóle płynie, bo wybiera teren gładki i pozbawiony możliwości przyspieszenia, w wyniku czego snuje się tylko przez okolice, sprawiając wrażenie, że jakby mogła, toby przestała. Bo też nie ma Kruta ambicji bycia rzeką na serio i gdy się na nią spojrzy, to ten brak ambicji widać. Szeroka jest co najwyżej na dziesięć metrów, a i to jedynie w miejscach, gdzie na zakręt się jej zbierze i w wyniku tego nurt wypłucze trochę ziemi spod nadbrzeżnej darni. Tam też, w zatoczkach, dno żółci się miłym piaskiem, który aż się prosi, żeby w nim pobrodzić, powypłaskać spomiędzy rzadkich wodorostów przezroczyste kreseczki narybku. Co do głębokości, to też nie ma się Kruta czym chwalić. Nie wiem, czy w którymś miejscu dorosły chłop średniego wzrostu zanurzyłby się bardziej niż do brody. Kapelusza w każdym razie na pewno by nie zmoczył. No, wyjąwszy może nieliczne wykroty, dziury wypłukane pomiędzy starymi korzeniami drzew, których już tu dawno nie ma, ale te od razu widać, bo Kruta, jak gdyby ostrzegając lekkomyślnych i śmiazków, żądnych wątpliwych emocji nurkowania w jej falach, pozaznaczała ich położenie niewielkimi wirami. Poza tym nie jest to rzeka, którą mogliby zachwycać się wytrawni pływacy ani preferować desperaci, pragnący skończyć ze sobą, bowiem do dna jest wszędzie blisko, nawet dla dziecka.

Cieknie więc sobie Kruta przez pola i łąki, o las zahacza niekiedy, ale tylko z brzegu, między drzewa za głęboko nie wpływając, wśród krzewów i kęp zarośli czuje się najlepiej. Wodę ma brązową, przy brzegu przejrzystą, niezbyt czystą, jak to swojska, podręczna rzeka, do której rozmaite rzeczy ludności zdarza się upuścić. Ale też, ze względu na to, że wsie stara się omijać, przez pola tylko płynąc, nie ma tych śladów rustykalnej cywilizacji w niej zbyt wiele. Jakieś papiery, butelki czasem, niekiedy kawałki folii – nic, co mogłoby zmienić jej rzeczny charakter i sklasyfikować do kategorii ścieku. Żyją w niej ryby i raki, nawet gdzieniegdzie te nasze, szlachetne, rzeczne, nie tylko amerykańskie racze chwasty. Nad brzegami spotkać można wędkarzy, a podczas weekendów rodzinne kocyki mieszczuchów. Zwykła polska rzeka.

Spomiędzy łąk Kruta szerokim zakolem wpada do Sanu. Tuż przedtem opływa niewielkie, lecz strome wzgórze z malowniczymi ruinami średniowiecznego klasztoru cystersów na szczycie. U stóp wzgórza, okolone z północy brzegiem Kruty, a od południa Sanu, leży miasteczko. Z klasztornej pagórka widać grzbiety czerwonych i czarnych dachów, dzwonnice kościoła, rynek, na nim wieżę ratusza, a nawet zegar, a bliżej dwa mosty: jeden mały, na północy, przez który biegnie za Krutą wąska wstążka gminnej drogi do pobliskich wsi, i duży przez San, którym miasteczko spaja się ze światem, bo tuż za mostem, za pierwszym rozwidleniem, zieleni się drogowskaz z napisem, składającym się z dwóch części: większej (Kraków, 253 km) i mniejszej (Sandomierz, 45 km).

Miasteczko to Kleofasów. Niegdyś siedziba powiatu, dziś podupadłe administracyjnie, co mu, moim zdaniem, w kwestii nabrania uroku tylko wyszło na dobre. Mieszkańców niecałe pięć tysięcy, prawie wyłącznie tutejszych. Jak zwykle takie miasteczko, posiada Kleofasów swoją atrakcję, którą się chlubi, osobliwość turystyczną, dzięki której ponoć ma nawet swoje miejsce w *Księdze rekordów Guinnessa*, a jeśli jeszcze

nie ma, to powinno. Jest otóż w samym centrum, u zbiegu czterech ulic, z których każda wychodzi nań spomiędzy jedno-, góra dwupiętrowych kamieniczek, rynek. Na oko normalny rynek: wokół kamienice, nieduże, jak to w takim miasteczku, a każda inna, wzdłuż nich deptak, rząd młodych lip, które posadzono tu w ramach wymiany drzewostanu jakieś piętnaście lat temu, brukowana kostką jezdni, a pośrodku skwer i ratusz z zegarem, widocznym ze wzgórza cystersów i nawet chodzącym – ze trzy lata temu naprawili. Czyli z pozorów nic specjalnego, dopóki nie trafi się nawiedzony geodeta z teodolitem oraz dalmierzem i nie pomierzy. Albowiem osobliwością, którą szczyci się w świecie Kleofasów, jest to, że rynek tu mamy krzywy. Najbardziej krzywy rynek w Europie.

Krzywość kleofasowskiego rynku jest modelowa. Żaden z boków nie jest tej samej długości, żaden z rogów, na których kończą się cztery centralne ulice, nie leży na tej samej wysokości według poziomu morza. Co prawda do morza stąd kawał drogi, ale różnicę poziomów widać gołym okiem, na dodatek potwierdza ją urzędowy dokument, wydany przez rejonowe biuro geodezji na podstawie pomiarów zleconych przez burmistrza. Dokument ten oprawiony w szkło wisi na pierwszym piętrze ratusza, nad schodami, które z parteru wiodą z rozmachem na burmistrzowskie pierwsze piętro. Jest w nim i o poziomie morza, i o długości boków, a wszystko na wypadek, gdyby kiedyś przyszło architektoniczny fenomen urzędowo udowadniać. W Unii, jaka niedawno u nas, więc i tu, w Kleofasowie, nastąpiła, może się przydać. A nuż jakaś Barcelona albo inny Klagenfurt nasz prymat w krzywości zechce zakwestionować. Ostrożności nigdy za wiele.

Odmiennej długości boków rynku, choć urzędowo potwierdzonej, uzmysławia też optyczny miernik ich długości, który stworzono, korzystając z okazji nagłego ataku aktywności dendrologicznego konserwatorstwa, jaka przydarzyła się miastu paręnaście lat temu i zaowocowała wymianą spróchniałych drzew na nowe. Młodych lipek z każdej strony

jest inna liczba: od południa trzynaście, od wschodu siedemnaście, od północy piętnaście i dziesięć od zachodu. Gdyby ktoś, przejeżdżając tędy przypadkiem, o kleofasowskim fenomenie nie słyszał, to mu to owe lipy jawnie unaocznia. Bez żadnych wątpliwości.

Chodzą co prawda słuchy, że zmienna liczba lip posadzonych z każdej strony jest trochę naciągana odległością między nimi, żeby podkreślić różnicę, która w rzeczywistości aż taka wielka nie jest. Ale chodzą owe słuchy nieśmiało i rachitycznie, bo raz, że komu by się chciało sprawdzać, a dwa – że po co. W podważaniu prymatu Kleofasowa nad innymi krzywymi rynkami Europy nikt tu interesu nie ma.

Pośrodku rynku jest skwer. Kilka alejek wśród krzewów bzu i rododendronów, które teraz, wiosną, przepięknie i bogato kwitną, zamieniając zielone kępy w grzywy różu i fioletu, kilka ławeczek, fontanna, gdzie woda leci z pyska jakimś łasicopodobnemu stworzeniu, i pomnik. Właściwie mało kto pamięta, komu poświęcony. Dawniej, gdy go stawiano, wysmukłą bryłę podpisano marmurem, na którym widniał hołd bohaterom Armii Czerwonej, co tutejszych obywateli wyzwoliła spod faszystowskiego knuta, materializując w ten sposób stare przysłowie o deszczu i rynnie. Potem, gdy przeminęła słusznie demokracja socjalistyczna, robiąc miejsce bezprzymiotnikowej, powstał dylemat o charakterze powszechnym i ogólnopolskim: co z tym zrobić? Różnie sobie z tym w skali kraju poradzano, jedni rozbierali, inni przemilczali i ignorowali, jeszcze inni przemianowywali. Kleofasowscy naprawiacze pomyłek historii, jako ludzie praktyczni i horyzontem patrzenia ogarniający nieodległą przyszłość, gdy z całą pewnością narodzi się dylemat nowy i stanie pytanie, gdzie teraz złożyć okolicznościowy bukiet, bez którego żadna władza autorytetu w pełni nie uwypukli, postanowili pójść drogą wymienioną na końcu. Przemianowali. Bez rozgłosu i fanfar, pewnego jesienno-go dnia ekipa remontowa Kowalewczuka, realizując zamówienie publiczne, przyjechała żukiem, tablicę odkręciła, załadowała na pakę, a na jej

miejsce przykręciła nową, którą, jak się okazało, magistrat już wcześniej przewidująco zamówił. Po czym odpalili żuka, huknęli gaźnikiem i pojechali, wywożąc wdzięczność radzieckim bohaterom w nieznanym kierunku. W ten sposób w Kleofasowie najbardziej widoczny ślad po czasach komuny został zatarty, a z resztą, zwłaszcza tą w duszach, miał poradzić sobie czas.

Na skwerku, na ławeczkach wokół fontanny, o tej porze, czyli w samo południe (właśnie dwunastą wybił zegar z ratuszowej wieży), nie ma przesadnego tłoku. Ludzie co prawda zbyt gorliwie tu nie pracują, zwłaszcza że, od czasu gdy upadła jedyna w mieście fabryka sklejek, z robotą jest tak sobie, ale nawyk godzin pracy pozostał. Dwie mamy z wózkami, dwóch obrzympałków, każdy z piwem w garści, i jeden starszy gość. O obrzympałkach i mamach mówić nie będziemy, bo to standardowe tło takich obrazków, skupimy się na tym starszym. Siedzi z rozpostartymi szeroko na oparciu ławki ramionami, obserwując tryskający z paszczy łasicopodobnego zwierzaka strumyk wody. Jest siwy, ale włosów ma dużo, oznak łysienia brak. Garbi trochę kark, co widać mimo odchylenia do tyłu, nie wiadomo, czy to wiek, czy może tylko tak usiadł. A może jedno i drugie, rzecz w końcu zwyczajna. Twarz ma okoloną siwą szczecinę zarostu o długości ciut poniżej granicy, która pozwala odróżnić posiadanie brody od skutków wysłania się na parodniowy urlop od golenia. Przystojny i dostojny. Nieliczni, z rzadka pojawiający się na skwerze przechodnie nie omijają go wzrokiem, a niektórzy pozdrawiają, kłaniając się z szacunkiem. Widać, że wszyscy wiedzą, kto on, choć do rodowitych miejscowych się nie zalicza. I faktycznie, przyjezdny jest, napływowy. Ci, którzy go znają osobiście, i ci, którzy tylko ze słyszenia, nazywają go Kaktus. Nie wiadomo właściwie dlaczego. Ot, tak, przyjęło się. To ja.

Dzień jest ładny, słoneczny, wystawiam więc oblicze ku słońcu, a jego ciężkie promienie przemykają mi powieki aż do granicy drzemki, aż trudno im się oprzeć.

– Dzień dobry, panie Kaktusie – głos zza pleców jest niski, lekko zachrypły, lekko świszczący, ma się wrażenie, jakby musiał przebijać się na świat przez gąszcz sumiastych wąsisków. I tak jest, musi się przebijać, znam jegomościa, tam wąsy, niczym Puszcza Białowieska, zaporę dla słów i oddechu stanowią trudną do sforsowania.

– Witam, Prezesie. Coś pan późno dziś.

– Ach, panie Kaktusie, a pan jak zwykle świeży i zdrowiem imponujący, nie każdemu latka tak nieznacznie uszczuplają fizjologię jak panu.

– Panu bardziej?

– A bardziej, bardziej. Tak się człowiek zniecka obsunął, że sam się dziwi.

Prezes, wbrew własnym słowom, sylwetkę ma szczupłą i wysportowaną, ruchy energiczne, krok zwawy, gdyby nie siwizna i znaczne zakola nad czołem, nigdy bym mu siedemdziesiątki bez mała nie dał. Prezes lubi krygować się na własny temat, jakby mu przez to łatwiej było oswoić upływający czas. Teraz przysiada obok, opiera się, odchylając do tyłu, i też, jak ja, wystawia twarz do słońca.

– Ładny dzień – konstatuje.

– Ładny – przytakuję. – Zanosi się na ładną wiosnę.

– Ale żeby ruch się przez to, znaczy z powodu wiosny, u nas wzmagał, to nie powiem.

– Prezes wiedzie wzrokiem wzdłuż pobliskiej jezdni, gdzie nieliczne tylko samochody przerywają bezruch kleofasowskiego rynkowego południa. We wzroku ma małomiasteczkową dezaprobatę i jakby tęsknotę do sznurów białoruskich tirów, które rozjeżdżają dzień w dzień podobne, lecz bardziej światowo położone miasteczka. Prezes ma zastarzały kompleks prowincji, jeszcze z czasów, gdy był prezesem. – Rozumiem zimą, śnieg, błoto, kategorie odśnieżania niezbyt porażające, dojechać niekiedy nie ma jak. Ale teraz?

– Co pan chce, Kleofasów nie metropolia, drogi krajowe nas omijają, do świata daleko. Po co mieliby tu jeździć?

– Racja. Jednak żal.

– Niech pan nie żałuje, Prezesie, ci rozjeżdżani mają gorzej. Spaliny i tak dalej.

– Spaliny, spaliny... Świat nas omija razem ze spalinami, perspektywy nas omijają, nadzieja omija, rozwój...

– E tam. Ja bym się nie zamieniał. Ten spokój, ta idylla, to bezcenny skarb w zestawieniu z pędem cywilizacji, jaki ma miejsce dookoła. Mnie tego pędu nie brak, napatrzyłem się w życiu.

– No tak, panu łatwiej, pan bywał. A my tu od dziesiątków lat kisimy się w tej naszej duchocie, w tradycyjnym sosie zalatującym stęchlizną. Nic nas z niego wyciągnąć nie może, ani socjalizm, ani kapitał.

– Przesada.

– Bo też go tu nie ma, jaki tu kapitał, jacy kapitaliści? Kowalewczuk może, ze swoim starym żukiem? Knajpiarz Piegoń? Hehe – ostentacyjnie śmieje się Prezes. – Ot, spójrz pan przed siebie. Co pan widzisz?

– Drzewa.

– Szerzej, Kaktusie, szerzej, z większym horyzontem, nie tak zaściankowo.

– Szerzej? Znaczy dalej? Dalej skrzyżowanie, Główna się zaczyna.

– No i właśnie. Główna. Jak sama nazwa wskazuje, główna powinna być, ku głównym celom bieć, główne szlaki wytyczać, mieć jakąś perspektywę. A ona co? Biegnie z rozmachem, z zadęciem, z obietnicą, Okrężną przeskakuje od niechcenia, Sandomierską mija, jakby jej nie było, jakby nie zauważyła, a potem? Wpada w piach, w płyciznie Sanu się

roztapia, w nic się zamienia. Jakoś tak: jest ulica – nie ma ulicy. Plaża, golasy się smażą, grille śmierzdzą, smarki taplają się w przybrzeżnym bloku. Po ulicy ani śladu.

– I co? Straszna jakąś piętrową metaforę pan konstruuje.

– Od metafor to pan jesteś, że zauważę. Ja obserwuję rzeczywistość i komentarz co najwyżej dorzucę. I właśnie, popatrz pan, Kaktusie, na tę Główną, na ten jej nijaki koniec. Toż to nasza kleofasowska alegoria w niej się ujawnia. Cały Kleofasów w niej, cała nasza prowincjonalna miejskość. Miasto, miasto, a kichniesz pan i „na zdrowie” panu w Lisich Borach odpowiedzą. Niczego więcej spodziewać się nie można.

– Pesymizm, pesymizm i kompleksy, Prezesie. Piękna tego, co macie, pan nie dostrzega. A ilu oddałoby majątek za tę kameralność, tę ciszę i brak tempa.

– To niech oddają. Chętnie wezmę. To znaczy, już może nie ja, ale moi następcy na pewno nie pogardzą.

Bo Prezes to nie byle jaki prezes. Jeszcze dwa lata temu na wysokim bankowym stołku siedział, nie ze miejscowym, spółdzielczym. Persona z niego była na skalę powiatu, a i województwa może, co prawda tego dawnego, mniejszego, ale zawsze. Teraz już emeryt, lecz czasem się zapomina i jeszcze posterowałyby lokalnymi przepływami, nadając im odpowiedni kierunek.

– Nie widać, żeby się pchali – ciągnie.

– Bo nie wiedzą. Jakby się dowiedzieli, to zobaczyłby pan. Proszę spojrzeć na taki Kazimierz. Mieścina podobna, a jaki prestiż i renoma.

– A moim zdaniem lepiej, że nie wiedzą. – Zza krzewu magnolii wynurza się zarośnięty czterdziestolatek w niechlujnej marynarce i czarnym kapeluszu z szerokim rondem. Pod pachą dzierży laseczkę z okrągłą główką, na szyi ma długi, wzorzysty szal zawadiacko przerzucony przez ramię. Lichota, malarz pejzażysta.

– Witamy, panie Janie. – Wstaję i wyciągam rękę. Lichota ściska ją i potrząsa zamaszycie, ale uścisk ma lekki, kobiecy. Siadamy, malarz nachyla się przeze mnie i wita z Prezesem.

– Jak mówiłem, lepiej – kontynuuje. – Dzięki temu ta cisza i spokój. Dzięki temu jeszcze można tu czuć, że się uciekło od cywilizacji.

– Ach, bo też pan... – Prezes macha ręką z lekceważeniem. – Panu zawsze wieczna ucieczka w głowie. I po coś pan uciekał? Tak źle panu było w tej Warszawie? Tak lepiej tutaj, na naszym zadupiu?

– A żebyś pan wiedział, nie żałuję. Tu oddycham, wie pan, Kaktusie? – Lichota zwraca się ku mnie, ostentacyjnie urywając konwersację z Prezesem, choć przecież jemu odpowiada. – Tu mnie ta stołeczna egzaltacja, to warszawskie zblazowanie nie dosięga. A jaki rozmach twórczy, jakie muzy! O, popatrzcie, panowie, tam. – Wskazuje na trotuar na wprost, gdzie akurat trzy dziewczuszki, paplając w komórki i śmiejąc się, przechodzą. – Czyż nie muzy to najczystszej wody?

– Hamuj pan, Lichota, to licealistki dopiero, za takie muzy zamykają dziś w kryminale – parska Prezes.

– W kryminale, w kryminale – burczy z dezaprobatą malarz pejzażysta. – Patrz pan, do czego to doszło. Żeby za licealistki do kryminału. Toż ja w Warszawie...

– Warszawa nie Kleofasów, a trzydziestoletni artysta to nie podstarzały satyr z piątym krzyżykiem na karku – śmieje się Prezes. – Pan dość już dawno Warszawę dla nas raczył porzucić.

– Ale muza stara być nie może. Co to za muza, panie, z lumbago? Muza to jak one tam: radość życia i goły pępek.

– No i dobrze, ale muzy potrzebne artystom na dorobku. Artystom w wieku średnim to już raczej żona, albo i pielęgniarka powoli, co poda zupkę, dzióbek wytrze, a potem dzieło krytycznie oceni.

– I kto to mówi? – oburza się malarz Lichota. – Pan? Pan nawet nie wiesz, co to żona. No, pielęgniarka, to może.

Prawda. Prezes w stanie bezzennym dzielnie dotrwał do emerytury. Całkiem jednak w niewiedzy o roli i subtelności stosunków damsko-męskich nie jest, jego dwuznaczna sława i plotki o romansowych wyczynach stanowią do dziś żelazny temat wielu spotkań kleofasowskiego towarzystwa.

– Dożyj pan moich lat i niech o panu tyle mówią, co o mnie. – Prezes świadom jest swoich przewag na tym polu, szczególnie iż wedle moich podejrzeń wiele z krążących o nim opowieści źródło ma w nim samym.

– W temacie żony mógłbyś się i pan czegoś nauczyć ode mnie – wzrusza ramionami Lichota i ponownie zwraca się ku mnie. – Ale dość o mnie. Jak tam u pana, Kaktusie? Jak pisanie? Wena nie opuszcza?

W kwestii małżeństwa, faktycznie, wielu mogłoby uczyć się od Lichoty. Trzecia żona w jadłospisie, w dodatku z nim nie żyje, robiąc karierę i pieniądze w Irlandii czy innej Danii.

– Jaka tam wena, panie Janie. Moja muza, jak sam pan stwierdza, już zmaga się z lumbago. Gdzie jej tam w głowie moje weny. Emeryt jestem, pogodziłem się z tym i pogodziła się muza, litościwie odpuszczając mi tortury natchnień.

– Czyli nie pisze pan? – upewnia się Lichota. – To niedobrze. Pisarz powinien pisać, bo z twórczością jak z seksem: jak przestaniesz, już nie wrócisz. Muzy wymagają pieśczoć i mobilizacji.

– Moja to emerytka, jak ja. A nowej w okolicy nie widać.

- Bo źle pan patrzy, nie tam, gdzie trzeba.
- Może, może... Ale mnie się już nie chce.
- Taaa – wzdycha malarz. – Czasy jakieś nastąpiły nudne, jałowe, twórczości niesprzyjające. Potwierdzam. Mnie też się nie chce.
- Panu to się nigdy nie chce – wtrąca Prezes. – Nawet galerii otworzyć, sprzedać coś, o malowaniu ani nie wspomnę. Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałem pana ze sztalugami.
- A komuż mam sprzedawać? Tym tam? – Lichota wskazuje na ławkę po przeciwnej stronie fontanny, gdzie dwóch obrzymiaków zaczyna kolejną rundę z piwem.
- No jasne, najlepiej demagogią przywalić, gdy poległo się na argumencie – śmieje się złośliwie Prezes. – Nawet nie próbujesz pan sprzedawać. Trudno stwierdzić popyt, gdy na drzwiach sklepu ciągle kartka: „Nieczynne. W sprawach pilnych dzwonić”.
- Tyle razy mówiłem: to nie sklep. To galeria. Galeria rządzi się innymi prawami niż stragan z kapustą.
- Gadaj pan zdrów. Innymi prawami. A jakimież to? Klienci kupujący i płacący żywą gotówką to element zbędny może? Wręcz przeszkadzający artyście?
- A żebyś pan wiedział. Niejednokrotnie.
- Czyli jak w mięsny za komuny. Obrazy są? Nie ma. A co jest? Ja jestem – parafrazuje Prezes klasyka.
- Co pan możesz wiedzieć o sztuce, o natchnieniu, tworzeniu, a potem mękach docierania do odbiorcy, o wiecznej polemice z widzami, o ustępowaniu, o granicy między wizją a kompromisem. Taka galeria ze mną w roli ekspedienta to klęska, porażka ducha z merkantylizmem. Ale do kogo ja to mówię? Do faceta, który przez czterdzieści lat nic tylko kasę w tę i nazad przeliczał. Kwintesencja merkantylizmu.

– Jaki merkantylizm? Nie używaj pan słów, których nie rozumiesz. Z monetaryzmem się panu pozajączkowało.

– Wszystko jedno. Tak czy siak, komercja zawsze w opozycji do idei.

– Ale jeść pan lubisz, co? Że o wypiciu nie wspomnę.

– Co z tego? To wszystko materia, magma, brud i proza życia. Niezbędne, podobnie jak wydalanie, ale czy piękne? A ja z pięknem obcuje, nie to co pan.

– Prozy łaskawie niech pan w to nie miesza – wtrącam z poważną miną, w duchu ledwie powstrzymując się od parsknięcia śmiechem.

– A, prawda, pan prozaik – mityguje się Lichota. – Ale na emeryturze, sam pan wspominałeś o muzach z artretyzmem – dodaje triumfująco, uświadomiwszy sobie, że w zasadzie mitygować się wobec mnie już nie musi, sam go z tego zwalnam swoim literackim nieróbstwem.

– Z lumbago, jak już. O artretyzmie nie wspominałem. Moje muzy udrećza ischias, to jest co innego.

– Nie bądźmy drobiazgowi w kwestii niedomagań, na które cierpią nasze muzy. – Malarz milknie na dłuższą chwilę. – No i zbił mnie pan z pantałyku – mówi z pretensją w głosie. – Straciłem wątek, a tak się przepięknie rozwijał.

I tak sobie gadamy. W każdy poniedziałek, w południe, gdy, jak dziś, pogoda sprzyja, a przynajmniej nie przeszkadza. Te nasze pogaduszki i przekomarzania, w czym prym wiodą Prezes z Lichotą, to rytuał, wstęp, zapowiedź hasła, które w końcu zawsze musi paść.

– To co? – przechodzi w końcu do konkretów Prezes. – Po maluchu? Piegoń „Stylową” na pewno już otworzył.

Dochodzi pierwsza, otworzył z pewnością. Wstajemy z ławeczki, przeciągam się, zwłaszcza prawe biodro, które dokucza trochę; żeby nie kuleć, muszę rozchodzić. „Stylowa”

na szczęście niedaleko, na rogu Krakowskiej. Ruszamy przez skwer, plosząc gołębie, gdy popijają wodę ze strumyczka, ciekącego przez szczeliny w betonowej cembrowinie fontanny. Stajemy na chwilę przy krawężniku, aby przepuścić stary, perkocący ciągnik, który właśnie wtoczył się na rynek. Kierowca w kufajce uchyla zmiętego kapelusza, kłaniając się naszej trójce. Nie mam pojęcia, kto to, pewnie jakiś dawny klient spółdzielczej kasy Prezesa i ukłon do niego był bardziej niż do nas. Ale odkłaniam się razem z nim, podobnie Lichota.

– Pławisz się pan w cudzej sławie – półgłosem zza wąsów rzuca w stronę Lichoty Prezes, tak aby rolnik nie usłyszał, choć pewnie i tak traktor słowa by mu zagłuszył.

– Też mi sława, niczym rzeźnika wśród gęsi. Doiłeś go pan z pewnością przez lata, a on teraz z wdzięczności za to dojenie w pas się panu kłania – Lichota nie pozostaje dłużny.

– A pan, dzięki mojemu dojeniu, też pod ten ukłon możesz się dziś podpiąć. Z cudzego szacunku skorzystać.

Wchodzimy do knajpy. Mamy tu swój stolik, w rogu pod oknem. Pusto jeszcze, wcześniej. Kelner Marcelek nudzi się przy barze, za kontuarem pani Piegoniowa – słuszną blondyna w białym barmańskim fartuszkach i żółtej bluzce z dużym dekoltem.

– Marcelku! – głośno wzywa kelnera Prezes. – Marcelku, dawaj tu, bo czasu szkoda!

Marcelek odrywa się od kontuaru, światowo przerzuca białą ścierkę przez ramię i podchodzi. Marcelek to chudy, piegowaty młodzian z przylizaną blond grzywką, przyuczony na kelnera poprzez praktykę, wrzaski Piegoniowej i film *Zakłęte rewiry*, który ogląda na DVD pasjami, wiem to z pewnego źródła. Wydaje się spełniony w tej roli, chociaż z pozoru na pierwszy rzut oka nie wygląda.

– Co podać? – pyta fachowo, chociaż jak długo tu przychodzimy, czyli co tydzień od dobrych sześciu miesięcy, nigdy nie usłyszał nic innego.

– Trzy pięćdziesiątki, tylko zimne, i trzy roztrzęsione kurczaki – ordynuje tradycyjnie Prezes.

– Tymbaliki, znaczy? – upewnia się tradycyjnie Marcelek. Głos ma cienki, jak przed mutacją, choć przecież stary już z niego koń, dobija powoli do trzydziestki. Gdybyśmy nie byli w Kleofasowie, nie dałbym głowy za jego kanoniczność płciową. Ale tu Kleofasów, do świata daleko i takie fanaberie zna się tylko z kina.

Piegoniowa, nie czekając na kelnera, uprzedzająco nalewa i wyciąga z lodówki drobiowe galaretki. Nie cierpię ich, ale z przekonywania o tym Prezesa zrezygnowałem dawno temu. W końcu sponsorowi nie dyktuje się, co ma sponsorować, a to Prezes, z rozpędu chyba, z nawyku po dawnych świetnych ekonomicznie czasach, występuje w roli sponsora. On tymbaliki lubi.

Wypijamy po całym, zakąszamy kęskiem tymbalika.

– Hu, od razu lepiej – Prezes chucha głośno i wyciera wąs wierzchem dłoni. – Nie ma jak dobrze zacząć tydzień.

Faktycznie lepiej, czysta lodowatym strumieniem spłynęła po przełyku, zmieniawszy się z żołądka w palący żar, który teraz przyjemnie rozlewa się po całym ciele.

– Marcelku! – Wyciągnięta w górę prawa dłoń Prezesa tym razem wystarcza za całe zamówienie. Piegoniowa nalewa.

– Co słyhać, pani Piegoniowa? Jak tam po weekendzie? – Prezes zwraca się ku szefowej.

– A dziękuję, dziękuję, panie Prezesie, nie najgorzej. W niedzielę po mszy grillaśmy na ogródku robili z Kowalewczukami, bardzo udana impreza. – Piegoniowa przesuwając tackę z alkoholem w stronę Marcelka, a sama wspiera się łokciami o blat, wychylając popiersie ku nam.

– No proszę, miejscowy kapitał trzyma sztamę – komentuje tubalnie Prezes głosem pełnym życzliwego śmiechu, na wszelki wypadek, gdyby się Piegoniowa na ironii poznała.

– Zaraz tam sztamę – Piegoniowa wzrusza słusznymi ramionami. – Interes mój jakiś miał do Kowalewczuka, to i spotkać się mus był, chciał nie chciał. No tośmy połączyli przyjemne z pożytecznym. Co w tym zresztą dziwnego? Świat od stuleci wykorzystuje wspólne żarcie do robienia interesów. To i do nas przyszło.

– Śmiał się pan z kleofasowskich kapitalistów. – Kopię Prezesa pod stołem. – A tu masz pan: *dîner d'affaires* całą gębą.

– Hyhy, grill *d'affaires* raczej, żeby być precyzyjnym – bulgoce półgłosem w tymbalika Lichota.

– *Signum temporis*, panowie – wzdycha teatralnie Prezes, cały w uśmiechach dla Piegoniowej.

– Co panowie mówicie? – interesuje się barmanka. – Tu nie słyhać, ekspres burczy. Jakby co, to głośniej, bardzo poproszę.

– Nic, nic, komentujemy tylko ten świat, który tu do nas przychodzi i w takich detalach – odpowiada Prezes. – Niezobowiązująco i filozoficznie.

– W dodatku w zagranicznych językach – uzupełnia Lichota, dalej z nosem w talerzyku, na wszelki wypadek.

– Ja tam z języków to tylko rosyjski trochę, ze szkoły. Do innych nie miałam głowy, zresztą jaki był powód wtedy, żeby się tego uczyć, po co, jak nawet do NRD rzadko kiedy miał człowiek możliwość wyjechać, a tylko tam można było pogadać w języku zbliżonym do ludzkiego.

– E tam, pani Piegoniowa, nasz przepiękny język Mickiewicza i Norwida pani deprecjonuje. Słyszała pani, żeby takiego *Pana Tadeusza* deklamował kto po niemiecku czy

angielsku? – oburza się Lichota. – Nie da się. A Goethego po polsku już w liceum uczą. I Byrona. I Yeatsa.

– Yeatsa też? – powątpiewam, bo jakoś nie pamiętam, żeby w liceum akurat jego.

– Oj, nieistotne, chodzi o zasadę.

– Uniwersalny widać mamy język, do każdej poezji pasujący – zauważa Piegoniowa z za baru. – Tylko czemu się jakoś w świecie nie przyjmuje, nawet gdyśmy teraz w tej Unii?

– Widać nikomu do głowy nie przyszło popularyzować – podsumowuje Prezes.

– Nie wie świat, co traci – przytakuje Lichota.

Wypijamy, zakąszamy.

– Marcelek!

– Ale to już ostatni, Prezesie. – Podnoszę dłonie obronnym gestem, gdy Marcelek stawia przed nami po kolejnym szczeniaczku. – Jeszcze mi się dzień nie kończy.

– A wiecie, panowie, że pomalowałbym teraz? – Lichota wyciąga się na krześle i z rozmarzeniem zakłada dłonie na głowę. – Ech, wziąłbym tak pędzel i namalowałbym coś... ot, Piegoniową chociażby. Chciałaby pani, pani Piegoniowa? – Wychyla się do tyłu i gibając na dwóch nogach krzesła, patrzy na szefową z pozycji przeciwpołożnej, ciemieniem na dół. – Za modelkę mi być, za natchnienie artyście? Pozować do arcydzieła, niewykluczone, że nago?

– A idź pan – macha Piegoniowa słuszną dłonią, wiedząc z doświadczenia, ile w tej propozycji słomianego zapachu, z alkoholu biorącego początek. I koniec zresztą. – Ja nie wiem, czy pan konia dałby radę namalować, nie zniechęciwszy się w połowie zadu, co dopiero ciało kobiece.

– Zwłaszcza tyle ciała – rechocze lubieżnie Prezes.

– Bezczelny – Piegoniowa wzrusza z obrazą ramionami.

– Konia nie wiem, koń trudny do ekspozycji, ale kobietę i owszem. Ja specjalista od damskich aktów jestem, wie pani? Wystawy dwie aktu miałem w Zachęcie, zanim tu uciekłem.

– Wieczny uciekinier... – pokpiwa Prezes.

– Tak? Pierwsze słyszę – w głosie Piegoniowej słychać wyraźne powątpiewanie, które zresztą podzielam. – Jakoś nigdy u pana żadnego aktu nie widziałam, same landszafty – brzoźki, sosenki, łąki w kaczeńcach.

– Bo i skąd? Kogo tu miałbym malować, gdy wszystko takie cnotliwe, że ksiądz proboszcz żywcem mógłby do nieba ekspediować. Popatrzeć śmieiej strach, co dopiero proponować pozowanie. Z przymusu pejzażem się zajmuję, z braku wzorca, z niedostatku modelu. Zresztą malowanie pani to jak malowanie pejzażu – ta sama fascynacja przestrzenią, ten sam oddech, rozmach, aż by człowiek z tej radości, z poczucia uwolnienia zakrzyknął i, zda się, echo usłyszał, ech...

– Kiedy pejzażem też niezbyt ochoczo. Coś pan ostatnio malował, poza kuchnią u sąsiadki z dołu? W galerii masz pan same starocie, posiwiące od kurzu.

– Skąd pani wie o kuchni? – autentycznie dziwi się Lichota.

– Hehehe! – zanosi się śmiechem Prezes. – Tu cię, bratku, mam! Malarz, job jego mać, pokojowy!

– Pan się nie wyraża przy kobiecie – obrusza się Piegoniowa.

– Przepraszam, złotko, to niechcący, wyrwało się ze szczerej radości.

– Też mi powód do uciechy. Pomagałem trochę, kobieta sama jak palec, a malarz zaczął, rozbabrał i poszedł w długą na dwa tygodnie. Każdy by pomógł – tłumaczy się Lichota, a na twarzy ma rumieniec, może od wódki i wiszenia głową do tyłu, a może nie.

– Tłumacz się pan, tłumacz – chichocze Prezes.

– I z czego pan rzy, Prezesie? – niespodziewanie Piegoniowa staje w obronie artysty.
– Co w tym śmiesznego? Ja mu wierzę, szczerść ma w głosie, to się czuje, to poczuje każda kobieta.

– Zwłaszcza gdy jej wcześniej w głowie namąci po artystowsku.

– Całkiem pan schamiał na tej emeryturze. – Piegoniowa odwraca się, zde gustowana, i zabiera za polerowanie szklanek. W każdą chucha, przeciera ścierką i ogląda krytycznie pod światło, po czym ustawia na blacie, równo, jak pod sznurek.

– E tam – Prezes macha lekceważąco ręką. – Nie ma czym się zrażać. Ja niezłośliwie przecież, a on wie. Marcelek!

Trzy zupełnie nowe pięćdziesiątki pojawiają się przed nami.

– Prezesie, prosilem... – bronię się słabo i nieprzekonująco, a Prezes mojej obrony zupełnie nie bierze pod uwagę.

Wychodzimy dobrze po obiedzie, gdy knajpa zaczyna zapełniać się codziennymi, zwykłymi o tej porze gośćmi i blaty nikną pod pokrywą szklanek pełnych piwa. Żegnamy się wylewnie, szeroko, jak zwykle w takim stanie. Ruszam w stronę Kolejowej, dokucza mi trochę biodro, ale poza tym w humorze jestem szampańskim, alkohol krąży mi w żyłach, co osobnikom w moim wieku wybitnie poprawia motorykę, zwłaszcza na krótką metę. Nie wybieram się w związku z tym do domu, zajrzę na targ, postanawiam. Jest już co prawda późno, ale pan Gapko powinien jeszcze tam być. Pan Gapko to handlarz staroci, często zaglądam do niego, a on zawsze coś dla mnie ma. Pan Gapko wie, jak lubię stare przedmioty, bo lubi je tak jak ja. Mam wrażenie, że gdyby nie ta nasza jedność duchowa, nie to zbratanie w miłości do ładnych rzeczy, nie sprzedałby mi wielu z nich. Żal by mu było.

Skręcam w Mysią. Bazar już stąd widać, wiele straganów świeci pustką, niektóre straszą opuszczoną kratą, zwłaszcza te z żywnością. Ale pan Gapko jest, miałem rację.

– Dzień dobry, panie Gapko – witam się.

– Wieczór, panie Kaktusie, wieczór już prawie. – Tęgawy mężczyzna w czerwonym berecie z jakąś wojskową, niepolską odznaką (karabin z mieczem w laurowym wieńcu) potrząsa moją dłońią. – Dobry wieczór, coś późno pan dziś.

– A, zasiedzieliśmy się z Prezesem i Lichotą, wie pan, emeryten party, starokawalerskie *rendez-vous* z flaszką. Dla zdrowotności głównie, fizycznej, tak, tak, a może bardziej psychicznej, tak, psychicznej przede wszystkim, światu przywrócić koloryt, rumieńców dodać, radość życiu, sens istnieniu – język mam luźny, plotę gładko, acz nie zawsze składnie i wyraźnie.

– Widzę, widzę – uśmiecha się wyrozumiale pan Gapko. – Ale coś panu w nogę? Bo kulał pan, zdawało mi się.

– Ach, nie, takie tam, wie pan, lata lecą, kości od tego nie młodnieją. Biodro mnie czasem pobolewa, zwłaszcza gdy coś się miesza w pogodzie, idzie na zmianę. Pohandlujemy? – Kieruję się w stronę straganu ze starzyzną. – Ma pan coś ciekawego?

Stragan założony jest przedmiotami, których funkcje i pochodzenie nie zawsze są proste do określenia. Przebiegam wzrokiem przez płataninę mosiądzu, porcelany i drewna, niełatwo z tego coś wyłowić, mam wrażenie, że oglądam jakiś stary, zdezelowany mechanizm o dziwacznych elementach, splątanych i zastygłych w tym splątaniu niczym mechaniczny, umarły labirynt. Technie spomiędzy starych krzywizn i zaśniedziałych błysków wiekiem i historią. Prawie widać krążących w tym połyskliwym galimatiasie, minionych razem z funkcjonalnością przedmiotów, ludzi. Ich ludzi, którym służyły.

– Co by pan polecił? – pytam. – Bo trudno się połapać.

– Panu? Tak... – Pan Gapko drapie się po zaroście z zafrasowaną miną. – Fajny czajniczek miałem, mosiężny, z sitkiem. W takie fantazyjne liście. Pasowałby panu. Ale kupił taki jeden, nawet się nie targował, chociaż cenę dałem bandycką, żeby zniechęcić, z myślą o panu. A tu masz – wziął i kupił. Portfel wyjął, odliczył, zapłacił i nawet nie chciał zapakować.

– To co będzie? – Wiem, że pan Gapko definitywnie oferty swojej dla mnie nie zakończył na sprzedanym czajniczku.

Patrzy pan Gapko na mnie z zadumą i widzę nagle natchnienie na jego twarzy.

– Zaraz – mówi wolno, a w tym rozciągnięciu ostatniej sylaby już słyhać pewność zrobionego interesu. – Kuleje pan. Laski by pan nie chciał?

– Laski? – Zaskoczył mnie. Nigdy nie myślałem o lasce. – Na co mi laska?

– Panie Kaktusie, chojrakować nie ma co, starszy, kulejący mężczyzna to jest klient wprost stworzony dla laski. A jeszcze takiej laski!

– Jakiej?

– Zaraz pokażę. Zobacz pan, weźmie pan do ręki i już nie wypuści. Przyrośnie panu do dłoni. – Pan Gapko sięga pod blat straganu i wyciąga mahoniowo bejcowany kij, błyskający srebrem na wygiętym końcu. – Patrz pan – podaje mi. – Cudo, majstersztyk parasolniczej roboty. Przedwojenna, a jakby wczoraj z warsztatu wyszła.

Biorę laskę w dłoń. Jest ciężka, masywna i taka zwarta w sobie, faktycznie, w dłoni leży jak odlana. I aż się prosi, żeby się na niej wesprzeć. Ulegam.

– I jak? – dopytuje się handlarz, ale widzę, że pyta retorycznie i o tym wie.

– Nieźle, nieźle – odpowiadam, czując, że nie chciałbym już się z nią rozstawać. Jakbym się bez niej robił bardziej kulawy.

– A widział pan rękojeść? – pokazuje pan Gapko. – Głowa orła, czyste srebro, próba 875, o, tu wybita, widzi pan? Elegancki, ręczny wyrób, jednorazowy, żadna seryjna chałabanina.

Widzę znaczek, ale co na nim nie, wzrok jednak już słabszy i w dodatku powoli robi się szaro. Ale nie mam powodu, aby panu Gapko nie wierzyć.

– Pasuje – godzę się. – To ile pan chce?

– Wie pan... Obcemu jak nic dwieście bym zaśpiewał, ale panu, stałemu klientowi... Hm... – Widzę, że łamie się w sobie, przelicza, a romantyzm i braterstwo zbieracza walczy w nim o lepsze z handlarską duszą. – A, niech. Da pan sto pięćdziesiąt?

Waham się.

– Dałbym, panie Gapko, panu dałbym, a i laska tego warta. Ale nie mam. Stówę mam, wystarczy?

– Strasznie mało – mruczy handlarz pod nosem. – Dorzuć pan choć dwie dychy za drogę, bo dołożę do interesu.

– Zgoda. – Wyjmuję portfel, płacę, pan Gapko chucha na banknoty i chowa do tylnej kieszeni.

– Niech się panu dobrze chodzi – rzuca z uśmiechem.

– Prosto przede wszystkim, panie Gapko – uśmiecham się na pożegnanie i odchodzę, wspierając się na nowej lasce. Tak, rzeczywiście, jakby przyrosła mi do dłoni, jakby zawsze była moja.

– Do piątku, panie Kaktusie, będę znów w piątek, pan zajrzy, może znów coś dla pana znajdziemy – woła za mną pan Gapko. Kłaniam mu się z daleka i odchodzę w Mysią.

Znów jestem na rynku. Jest szósta, bije zegar na ratuszowej wieży, w pół tego bicia odzywa się kościelny dzwon. Szarzeje coraz bardziej, jedna po drugiej zapalają się latarnie.

Mijam ratusz, przecinam skwer, wachlarze wody w fontannie srebrzą się bajkowo, blask przeciwległych latarń tęczowo połyskuje przez krople jak przez sznury brylancików. Wokół na ławkach grupki młodzieży. Szmer rozmów, czasem głośniejszy śmiech. Patrzą obojętnie, gdy ich mijam, czasem w ogóle nie zwracają uwagi.

– ... z Grassem się tam przyjaźnił i z Ingeborg Bachmann, a potem, wyobraź sobie, we Francji poderwał jedną taką młodą Kanadyjkę i jeszcze się z nią zdążył ożenić – wyławiam ze zdziwieniem słowa ładnej szatyneczki, siedzącej na kolanach łysego chłopaka w dresie i w przerwach między zdaniem pociągającej piwo wprost z butelki. Tak mnie kontekst zaskakuje, że dopiero po chwili rozpoznaję znajome epizody opowiadanego życiorysu. Chłopak patrzy na nią cieleńczo i wygląda, jakby w ogóle nie wiedział, o czym ona mówi do niego. Co mnie, prawdę powiedziawszy, mało dziwi w tej sytuacji. Dziewczyna też to widzi, bo odchodząc, słyszę jeszcze zanikające:

– Ty mnie w ogóle nie słuchasz!

Przechodzę przez jezdnię i zagłębiam się w Jaśminową. Do domu mam już niedaleko, parę kroków.

Mój dom to stara, dwupiętrowa kamienica na rogu Jaśminowej i Asnyka, z narożnym wykuszem na pierwszym piętrze. Podnoszę głowę, patrzę w jego ciemne okna. Tam mieszkam. Nad bramą żółto świeci latarnia ze zwykłą żarówką. Wokół bramy cicho szumią lipy, z przeciwnej strony skrzyżowania dobiega mocniejszy poszum parku, w którym słychać z rzadka popiskiwanie przysypiających już wron. Otwieram drzwi, skrzypią, wchodzę, skręcam z bramy na schody. Hałaśliwie łupię drzwiami, ciągle zapominam o tym samozamykaczu, słyszę, jak na piętrze otwierają się drzwi od mieszkania.

– To ja, Adelajdo – mówię głośno i powoli, starając się ukryć pewną nadmierną swobodę i nonszalancję mojej dzisiejszej artykulacji. Nic nie słyszę w odpowiedzi, oczyma

duszy widzę za to, jak kręci z dezaprobatą siwym kokiem i wraca do mieszkania. Adelajda mieszka *vis-à-vis* i zawsze słyszy, kiedy wychodzę i wchodzę. I co gorsza, w jakim stanie.

Idę po schodach, staram się przy tym nie tupać zbyt głośno, jakby to mogło uładzić zniesmaczoną Adelajdę. Gdy wchodzę na piętro, stoi w swoich drzwiach. Mimo iż czuję, jak cały korytarz, ze schodami w dół i w górę, może nawet do półpiętra, stopniowo wypełnia się jej potępieniem, widok ten sprawia, że cieplej mi na duszy, i czuję przyjazne rozrzewnienie na widok zsuniętych na czubek szpiczastego noska okularów w srebrnej oprawie. Adelajda jest mała i drobnej budowy, ciągle zgrabna mimo wieku, do którego się bezsensownie nie przyznaje, a o którym wszyscy wiedzą. Na ramionach ma koronkowy szal, w dłoni trzyma grubą książkę w sztywnych, płóciennych okładkach, z wyglądu starożytność, założoną kciukiem gdzieś w połowie. A ręce ma skrzyżowane przed sobą, pod biustem, i to z tego skrzyżowania emanuje większość otaczającej ją i okolicę przygany.

– Dobry wieczór, Adelajdo – kłaniam się, salutując laską. – Jak zwykle czujna, co?

Nic nie mówi, przygląda mi się tylko znad okularów.

– Wcale nic mi nie jest. Zupełnie – usprawiedliwiam się profilaktycznie, gdyby jednak miała zamiar powiedzieć coś, czego się spodziewam. – Z Prezesem ociupinkę i z Lichotą posiedziałem, podroczyliśmy się jak zwykle. Ale nic prawie, symbolicznie i jedynie dla zdrowotności...

Adelajda kiwa głową z rezygnacją.

– Ech, Kaktusie – mówi tylko i cofa się do mieszkania.

– Zaczekaj, Adelajdo! – wołam za nią. – O, zobacz, co u Gapki kupiłem. – Prezentuję laskę jak ostateczny argument. Nie chcę, żeby sobie poszła.

Wraca. Znów opiera się o framugę, przygląda się lasce.

– Ładna – stwierdza. – Stara.

– Pomyślałem, wiesz, biodro mi szwankuje coraz bardziej i w ogóle, człowiek z laską, zwłaszcza taką, dostojniej i intelektualniej wygląda, do zawodu przystająco, bym powiedział, i tłumaczyć się z indolencji mniej będzie trzeba, bo na oko widać, że literat, a jak nie literat, to może minister albo choć emerytowany finansista. Godności domyślnej taka laska dodaje niezmiernie, inny człowiek z człowieka wychodzi – gadam dużo i szybko, w efekcie byle co, byle sobie jeszcze nie poszła. – I zobacz, jaką ma ładną główkę, czyste srebro, próba jakaś milion dwieście trzydzieści, czy inna, ale autentycznie wiarygodna, samą wielkością, ogromem liczby przytłacza i nakazuje szacunek. Skarb zdobyłem, Adelajdo, brylant antyku.

– Gadasz byle co, Kaktusie – chłód w głosie Adelajdy nie pozostawia złudzeń. Zaraz definitywnie sobie pójdzie. Już idzie, ponownie cofa się w głąb przedpokoju, wolno przymyka drzwi.

– Momencik, chwilka... Adelajdo, może herbatki byśmy...? – próbuję ostatniego argumentu, ale słaby on, widzę wyraźnie, nic z tego nie będzie.

– Dziś nie – odpowiada. – Idź sobie, Kaktusie. Nie lubię cię chwilowo.

Drzwi stukają, chrobocze łańcuch, szczeka zamek Łucznik i nie ma już Adelajdy.

Dobry humor diabli wzięli, zwarzony idę do siebie. Zapalam światła, włączam gaz pod czajnikiem, robię sobie herbatę, wyjmuję masło, kroję chleb, rzodkiewki, zabieram na talerzyk i idę do salonu. Stawiam talerzyk i filiżankę na stoliku w wykuszu. Wracam po laskę, stawiam ją pod oknem, opieram o parapet. Siadam w bujanym fotelu. Szumi mi w głowie, czuję rozleniwienie w kościach i w rozumie. Zamykam oczy. Świat mi się przyjemnie kołysze, powoli mija zawstydzenie po spotkaniu z Adelajdą. A cóż ona mi tu – budzi się we mnie rachityczny bunt. Matka czy co? Dość już dorosły jestem. Strasznie jest zaborcza, do tego bezpodstawnie, co jej do moich poniedziałków?

Łykam herbatki, zagryzam kanapkę. Przyglądam się lasce. Rzeczywiście jest piękna, bije z niej autentycznie to dostojęństwo, które w ciemno, nie oglądając, opisywałem Adelajdzie, chcąc ją zatrzymać. Srebrzyście połyskuje orla główka na rękojeści. Ciepło herbatki rozleniwia, Prezesowe pięćdziesiątki gładzą mi żyły, szum oczu przymyka. Balansuję na krawędzi przyśnięcia, na tym wąskim jak ostrze brzeżku, który mnie dzieli od snu. Kiwam się raz w jedną, raz w drugą stronę, to jestem na jawie, to we śnie, na etapie chwilowej przytomności resztką woli odstawiam szklankę – można się oblać, poparzyć, lepiej nie – i znów zanurzam się w senną otulinę, w z lekka nietrzeźwy majak, w nadrealny opar. Laska mi ogromnieje w wyobraźni, wielki orli łeb przygląda się groźnie, łypie srebrnym okiem, zupełnie jak Adelajda, to samo spojrzenie, ta sama nagana we wzroku, jeszcze mu okularów, zsuniętych na koniuszek dzioba, brak. Tylko patrzeć, jak mi tu Proustem albo Herodotem rzuci, a ja będę potem pół dnia myślał, co też miał na myśli.

– Herodotem?

Herodotem. Albo innym Homerem. Byle był na „H”, bo to brzmi starożytniej. Albo na „S”, na „S” też się sporo w starożytności wydarzyło. Sofokles, Safona, Sokrates... I ten, no, Siosi... Sosifanes. On nawet na dwa „S”: z Syrakuz. I Symonides. Chyba ich nawet więcej niż na „H”. Tam tylko jeszcze Horacjusz i... Hipokrates. Hypatia. Już... A Scypio? Też. A kto to, u diabła, był Scypio?

– Jaki Scypio?

No ten, od pognębienia Hannibala chyba... Hannibala na „H”. Zaraz... Kto...? Z kim ja...? Patrząc, na wprost mnie orli dziób szczyrzy się do mnie w srebrnym uśmiechu. O żeż, z laską gadam!

– Gadasz do mnie?

– A co? Nie można? – odpyskuje laska. Arogancka, psiajucha.

– Można. Tylko dość nieoczekiwanie. – Przyglądam się lasce nieufnie, z rezerwą, wężąc spisek, robienie w balona czy inną trąbę. – To na pewno ty? Nie Lichota, nie Prezes, za firanką schowany? Bo Adelajdy nie posądzam, zbyt mnie dziś nie lubi.

– Rozczarowująco głupiś – mówi laska (bo niby kto ma mówić? Ja wiem, że to idiotyczne, ale to ona, poza nią nie ma tu nikogo, kto mógłby się podszyć, zresztą to niełatwe przekonująco udawać laskę).

– Bo co? – budzi się we mnie protest. – Bo w gadające laski nie wierzę?

– Nie wierz sobie. – Jakby laska miała ramiona, w tej chwili na pewno by nimi wzruszyła. – Ja tu nie jestem po to, żeby ci udowadniać fakt mowy lasek, bo to oczywiście bzdura, tylko żeby ci opowiedzieć.

– Co opowiedzieć? Ty wiesz, że już późno, wieczór za pasem, ja coś popisać muszę, bo pisarz przecież jestem, do cholery, nie ma czegoś takiego jak emerytowany pisarz, pisarz to pisarz, pisze i już. Jak nie pisze, to nie pisarz, tylko ochłajmorda, zasłużenie przez Adelajdę potępiana i niewpuszczana za próg. A weny szlag trafił, ma rację Lichota, muzy nie dla nas, starych, tylko kto u licha w takim razie ma nas zapładniać twórczo, dymać artystycznie, w ciężę z arcydziełem wpędzać?

– Nie zagalopowuj się, bo mi tu zaraz wykład ginekologiczny wygłosisz o donaszaniu brzemienności talentu. – Patrzy na mnie, noż w mordę, naprawdę na mnie patrzy tym swoim wylupiastym srebrnym okiem. – Że delikatny i czuły na zmiany aury intelektualnej. Metafory same się cisną, a co jedna, to bardziej strzelista.

– No to czego chcesz?

– Jak to: czego? Niczego. To ty chcesz. Ty mnie potrzebujesz jak powietrza, a raczej tego, co mam ci do powiedzenia, mojej historii. Bez tego psi ogon będziesz mieć, nie wenę. Jestem twoją ostatnią deską ratunku.

– Opowiesz mi? – patrzę powątpiewająco. – A jaką mam gwarancję, że to będzie dobre, że utrwalenia godne?

– Gwarancję? – parska laska. – Żadnej. Możesz mieć tylko nadzieję. To co, wchodzisz w to?

Przed oczyma staje mi bezsenna noc, przybita nienachalnym, ale uciążliwym kacem, a w niej gryzienie długopisu nad pustą kartką, bezmyślne pukanie w dowolny klawisz komputera i gapienie się w nieskończony szereg literek „n” czy „g”, jaki twórczo spod literackich palców mi się wysnuwa. Godzina za godziną, godzina za godziną... A w efekcie, gdy zrobi się szaro, na stronie będę miał triumfalne trzy zdania, których nie będzie mi wstyd. Historię? Laska da mi historię? Jaka by nie była, będzie z fabułą, ze wstępem, rozwinięciem i zakończeniem, będzie o czymś. Resztę się dorobi, głębię myślową, urodę metafor, celne porównania, poezję opisów, wszystko. Bo wszystko to, co tak się ludziom podoba, co uznają za urok dzieła i po tym oceniają, to tylko zewnętrzny blichtr, ozdoby, wycinanki. Sedno jest w historii, w tym, co opowiadasz. Bo dla opowieści cię słuchają, choćby nawet nie zdawali sobie z tego sprawy. Podejmuję postanowienie.

– Dawaj, laska – mówię zdecydowanie i robię wdech jak nurek przed skokiem z trampoliny. – Tylko wezmę ołówek.

PATRONAT:

